

NASHACHATA II na końcu świata

Na przełomie lipca i sierpnia 2012 r. pod trudnym do przecenienia dowództwem kapitana Zbyszka Jałochy dwanaścioro żeglarzy pożeglowało na jachcie **s/y „Nashachata II” wokół Svalbardu**. Napotkaliśmy sprzyjające warunki lodowe, które w połączeniu z kompetencją dowódcy, dzielnym jachtem i załogą, do której miałem zaszczyt należeć, pozwoliły nam zrobić wielką pętlę wokół archipelagu, łącznie ze skokiem na północ, gdzie dopłynęliśmy „do końca mapy” – szerokości geograficznej 81,30 N.

LESZEK CIUPIŃSKI

NASHACHATA II

„Nashachata II” to 67-stopowy jacht przystosowany do żeglowania w warunkach arktycznych. Jacht ten jest wyposażony w 12 koi w sześciu dwuosobowych kabinach i dwie toalety z prysznicami. Dzięki dużej przestrzeni na przechowywanie sprzętu i żywności przystosowany jest do długich wypraw, a 1800-litrowe zapasy paliwa oraz odsalarka zapewniają niemal nieograniczoną autonomię nawet przy bezwietrznej pogodzie.

PARAMETRY TECHNICZNE

długość	20,42 m
szerokość	5,26 m
zanurzenie	2,82 m
wys. masztu nad pow. wody	26 m
powierzchnia żagla (maks.)	220 m ²
średnia prędkość pod żaglami	9 w
średnia prędkość na silniku	8 w



JAN GOROL

■ Otoczeni niezwykłymi lodami Arktyki staliśmy, milcząc wzruszeni, wpatrzeni w ten surowy, majestatyczny pejzaż i nie chcieliśmy nigdzie wracać...



JAN GOROL

■ Nasza załoga na północnym końcu świata, czyli „Dalej się nie da...”

➔ W trakcie trzytygodniowego rejsu (1330 Mm) odwiedziliśmy cztery polskie stacje badawcze na Spitsbergenie (a były to: Kaffioyra, Hornsund, Calypso, Petunia, wszędzie doznając nadzwyczajnej gościnności rodaków), dwa postsowieckie miasteczka górnicze (Barentsburg i Pyramiden) oraz najdalej wysuniętą na północ osadę ludzką na świecie (Ny-Alesund). Niezliczoną ilość razy lądowaliśmy pontonem na brzegu, natknęliśmy się na wszystkich głównych przedstawicieli zwierząt zamieszkujących wyspy i morze (foki, morsy, renifery, wieloryby, lisy polarne i... jednego białego misia!). Na lądzie i w wodzie doszło do spotkań z nietuzinkowymi postaciami polskiego żeglarstwa i polarnictwa Martą Szilajtis, która – pokonując Kanał Białomorski – dotarła właśnie na Svalbard z Murmańska, Henrykiem Wolskim, obecnie pracującym jako „expedition leader” na statku „Quest”, i Wojciechem Moskałem, który mieszka i pracuje w Ny-Alesund, oraz z jachtami pływają-

cymi pod polską banderą („Oceania”, „Hi Ocean One” i „Operon”).

Wiele można pisać o tych niegościnnych wyspach, ich surowym pięknie, stalowym morzu, błękitnych lodowcach, dziwnych osadach ludzkich i tych opuszczonych przed wielu dziesiątkami lat, i tych dzisiejszych oraz spotkanych ludziach. Skoro jednak ogranicza nas cierpliwość czytelnika – pozwólcie na kilka impresji.

NY-ALESUND

To niewielka, najdalej na świecie wysunięta na północ stale zamieszkała przez ludzi osada. Na potwierdzenie tego faktu na rozlicznych sztydach umieszczono stosowne informacje o niebudzącej żadnej wątpliwości szerokości geograficznej tego miejsca (78,55 N). Złożona jest z kilkudziesięciu kolorowych drewnianych domków nielicznych mieszkańców, nieco okazalszych siedzib kilku stacji naukowych, zaskakującego trochę swoją obszernością sklepu,

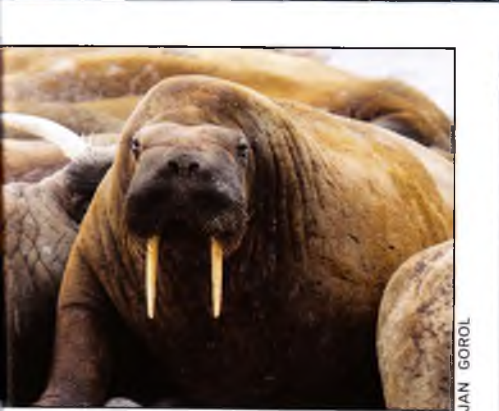


BOŻENA CIUPIŃSKA

■ na placach wciąż stoją pomniki Lenina

ponadto na głównym placu ustawione jest popiersie giganta obu biegunów – Amundsena. Jest również knajpa. O knajpie nieco szerzej za chwilę.

Wzdłuż głównej ulicy (nie przesadzajmy!) usytuowane są tablice ostrzegające, iż zejście z głównego traktu bez broni palnej jest zakazane (niedźwiedzie polarne!), natomiast nierozsądne zagładanie pod kamienie na pobliskiej łące grozi atakiem szczególnie agresywnych w okresie lęgowym rybitw, czyli mniej więcej wtedy, kiedy tam byliśmy. Ptaki podrywały się ze swoich ukrytych w kamieniach gniazd, w których wysiadywały jajka lub chroniły pisklęta i nadlatywały z wojennym piskiem, atakowały nasze głowy z niezwykłą zaciętością bez jakiegokolwiek lęku i w tej stracenczej odwadze było tyle siły życia i determinacji do jego utrzymania i kontynuacji, iż bez dwóch zdań nie zostawało nam nic innego, jak pokłonić się nad cudem życia i panującymi tu na północy surowymi prawami natury.



■ Morsy są ogromne, monstrialne i uroczo brzydkie

Bezsprzecznie obowiązkiem każdego prostego marynarza przybywającego do nieznanego portu jest odwiedzenie miejscowej knajpy – ale gdzie portowe dziewczki znane z szant i gdzie rum? W trakcie dnia – cokolwiek by to tu znaczyło – była niestety zamknięta...

Poszliśmy wieczorem czy nocą – zostawmy w spokoju tę kłopotliwą na tych szerokościach kwestię pory dnia. Stylowe, drewniane wnętrza załudniało z 50 urodziwych dziewcząt i chłopców – pracowników licznych tu stacji badawczych oraz miejscowej młodzieży. Na stołach płonęły świeczki, panował przyjemny mrok – jak w każdej szanującej się knajpie w naszej poczciwej Europie. Na miniaturowej estradzie bardzo smutno zawodził jakiś chłopak z gitarą i choć nie znam norweskiego, bez wątpienia śpiewał mianowicie o swojej dziewczynie, która z nastaniem nocy polarnej opuściła go i samotny fiord, bowiem nie mogła już znieść smrodu świeżo zaslachtowanych lo-

■ Dalej już tylko niewidoczne dla nas wieczne lody i wierzchołki naszej planety, krawędź świata...

sosi i uciekła do Oslo, by znaleźć pociechę w ramionach pewnego doktoranta, które go ręce pachniały książkami...

Czar jednak tej uroczej nocy, spędzanej przy ciepłym blasku świec, pryskał momentalnie, kiedy przy każdym otwarciu drzwi kantyny i odsłonięciu koca, który udawał noc, dzień polarny wlewał się do knajpy, studził zapały podochoconych polarnych dziewczek i chłopaków, bo otóż, mili państwo, okazywało się ponad wszelką wątpliwość, że mamy do czynienia z najprawdziwszym dniem i żadne amory w tej sytuacji nie mogą mieć miejsca. Bez wątpienia decyzja naszego kapitana – niech mu zawsze wiatry sprzyjają – by bez zbędnej zwłoki wypłynąć w morze, uchroniła załogę przed kolejnymi rozczarowaniami...

BARENTSBURG I PYRAMIDEN

To bezsprzecznie najdziwniejsze osady ludzkie, jakie miałem okazję oglądać w swoim życiu. Zostały założone przez Sowietów w la-

tach 20. i 30. ubiegłego wieku na mocy traktatu svalbardzkiego, który umożliwiał państwom sygnatariuszom traktatu swobodny dostęp do kopalni archipelagu, do osiedlenia się i budowania miast. Radzieckie osady górnicze przeradzały się potem w miasta. Wybudowano bloki mieszkalne, żłobki, szkoły, ulice, place zabaw, knajpy, sale sportowe, na głównych placach postawiono pomniki Lenina, no i przede wszystkim – wybudowano kopalnie węgla.

Dziś już ten pomysł na czerpanie korzyści z darów ziemi Svalbardu nie ma ekonomicznego sensu, ale te wymarłe miasteczka, kosmary z przeszłości w wydaniu polarnym, zakonserwowane mrozem, śniegiem i lodowatym wiatrem pozostały i nadal ktoś tam żyje i pracuje; tym razem dla jakiegoś oligarchy (w trakcie polarnego lata w Pyramiden przebywa obecnie 14 osób, w zimie – 2, a kiedyś w latach świetności mieszkało tu ponad 1000 osób!). Postindustrialny krajobraz, przedziewiałe konstrukcje

JAN GOROL



■ Kolorowe Longyearbyen z pokładu jachtu

taśmociągów i nieczynnych kopalni, błotniste dukty wszystko to na tle cudnej panoramy błękitnych lodowców, surowych gór, morza usianego growlerami – przyznacie, że to dosyć niecodzienne zestawienie. I nieliczni obecni mieszkańcy – Rosjanie, Ukraińcy (cały czas szczerze tęskniący za „Sojuzem”), jednak mili, uśmiechnięci służący pomocą i radą ludzie. Obsługują dźwigi i ciężarówki, które z całą pewnością nie powinny już działać, a nadal pozostają w służbie.

Ale i nowe pokolenie, jak poznany sympatyczny Dimitri, wykształcony młody człowiek z Petersburga z nienagannym angielskim, obsługujący w trakcie polarnego lata nielicznych turystów w Pyramiden, z którym gaworzymy w jedynej w mieście hotelowej knajpie, popijając piwo. Zupełnie niebywale, ale podłogi są wyłożone parkietem, wypastowane, lśniąco i pachnące, a w restauracyjnym barze jest wszystko (przykładając właściwą miarę do tego arktycznego świata): czekolady, wódka, papierosy...

Na jednym z opuszczonych przez ludzi betonowych bloków w oknach dziesiątki gniazd hałaśliwych mew i orgia ich krzyków i odgłosy ptasiej zapobiegliwości. To miasto ptaków, a nie ludzi. Jest pochmurno, zimno, szaro, beznadziejnie... Tak jak w nieco już zapomnianej peerelowskiej rzeczywistości. Wracamy, idąc błotnistą drogą do portu, gdzie obok rosyjskiego holownika (przyplłyną z Barentsburgu po dwie palety cegieł) stoi „Nashachata II”, cierpliwie oczekując swoich pasażerów, którzy właśnie wracają z przeszłości.



JAN GOROL

■ Dwanaścioro żeglarzy poźeglowało wokół Svalbardu

POPLYNĘLIŚMY KU MORSOM

Z morza, patrząc na ich kolonię leżącą na plaży, ssaki te wyglądają jak brązowe nadmorskie głązy. Można do nich podejść bardzo blisko. Są ogromne, monstrialne i w pewnym sensie wydają się jedną z największych pomyłek ewolucji. Urzeczeni ich brzydota, patrzyliśmy z najbliższej odległości na naszych tłustych braci, szukając boskiego uzasadnienia dla tego aktu stworzenia. Jednak bez wątpienia Stwórca miał jakiś pomysł, by owe leniwe zwierzęta zaprzędo do swojego boskiego planu i na tym poprzestał. Przytulone do siebie, leżąc na zimnym piasku, pomrukiwały, czochrały się płetwami, czasem, ale rzadko uderzały potężnymi kłami w sąsiada i było w nich coś ze starożytnych bogów – miały gdzieś naszą obecność i nasze ludzkie problemy, zajmując się wyłącznie sobą, kontestując swoją siłą i potężne kły niebezpieczne nawet dla polarnych niedźwiedzi, dumne z pra-



LESZEK CIUPIŃSKI

■ Łądowaliśmy pontonem na brzegu

wie dwóch ton cennego tłuszczu i świadome swojego panowania na tym skrawku świata.

W DAWNEJ OSADZIE WIELORYBNIKÓW

W XVII i XVIII w. wszędzie, gdzie wielorybnicy postawili nogę, pozostawiali hałdy kości, czaszek, żeber zaszlachtowanych wielorybów i widok ten jest dziś dla nas przykry. Szczątki tych majestatycznych stworzeń, w takim nagromadzeniu, zawsze wywołują jakiś smutek. W innym miejscu i innej zatoce natrafiliśmy na dawne cmentarzysko wielorybników. Rząd norweski chroni obecnie takie miejsca i niewielki pagórek, na którym zostali pochowani, otoczony został solidnym łańcuchem niepozostawiającym złudzeń, że wchodzić na ten teren nie wolno. W nie tak odległych czasach takie cmentarze stały się przedmiotem nielegalnych poszukiwań szczątków ludzkich i resztek trumien. Oba te miejsca jednako-



JAN GOROL



ZBIGNIEW JALOCHA

■ Smagał nas lodowaty wiatr, a po horyzont sięgał gęstniejący pak lodowy



PAWEŁ STOLZMAN

■ Lodowce – błękitne, potężne i majestatyczne

wo smutne; ofiary i ich prześladowcy porzuceni na wieki, zapomniani na zawsze na tej niegościnniej bezludnej ziemi.

BŁĘKITNE LODOWCE, POLARNA CISZA, POLARNE CHMURY

Lodowce są błękitne jak niebo, potężne i majestatyczne, są wieczne i kiedy pomrukiwały groźnie, oznajmiając kolejne cielenia, budziły po ludzku lęk. Niekiedy mijały nas w trakcie żeglugi ich małe dzieci – growlery, starsi kuzyni – góry lodowe i wtedy byliśmy bardzo mali, zredukowani do kostek lodu na wiecznym oceanie życia.

Wylądowaliśmy pontonem na skrawku arktycznego świata na płaskim brzegu przechodzącym w rozległą dolinę. Wędrowaliśmy po grząskim gruncie porośniętym tundrą, wypatrując reniferów, ale też bacznie obserwując najbliższą okolicę w obawie przed misiami. I uderzyła nas pa-

nująca w tej dolinie cisza, wszystko wokół milczało absolutnie. Milczeliśmy i my, bo wiem należał się temu światu pewien szacunek. Niezapomniana chwila. A potem przyszła konstatacja: tu po prostu nie ma drzew, a wiatr, jeśli nawet powieje, nie jęczy w gałęziach i listowiu.

Chmury wiszą tutaj znacznie niżej niż ich kuzynki w naszych szerokościach, smutne, szare, beznadziejne, zazdrośnie strzegą swalbardzkich szczytów, prawie zawsze odcinały równą kreską skaliste wybrzeże, przepoławiały świat. Nawet cirrusy, które przywykliśmy oglądać wędrując wysoko, najwyżej jak tylko mogą szybować najcieńsze i najlżejsze z chmur, tu wiszą nisko i wstydliwie nad głowami, nieodmiennie jednak zwiastując pogorszenie pogody.

PODBIEGUNOWE WZRUSZENIA

Kiedy dopływaliliśmy do końca ostatniej dostępnej dla nawigatorów mapy północnego świata – do szerokości 81°30'35", smagał nas lodowaty wiatr, a po horyzont sięgał gęstniejący pak lodowy. Dalej już tylko niewidoczne dla nas wieczne lody i wierzchołek naszej planety, krawędź świata – tu wywołana została na pokład samotnego jachtu cała załoga. Otoczeni niezwykłymi lodami Arktyki staliśmy, milcząc wzruszeni, wpatrzeni w ten surowy, majestatyczny pejzaż i nie chciało nam się nigdzie wracać... Wreszcie padły słowa kapitana Zbyszka, słowa, które w tej sytuacji musiały paść: Dalej się nie da... Wracamy!

PO REJSIE W KNAJPIE W LONGYEARBYEN

Zamówilem – samotny pielgrzym – piwo w knajpie z ogródkiem na głównej ulicy stolicy Svalbardu, potem drugie – zadumany szczerze...

Longyearbyen, dawna osada górnicza, licząca dziś nieco ponad 2 tysiące mieszkańców, to skupisko kolorowych drewnianych domów. Wszędzie na poboczach i placach drzemące na paletach skutery śnieżne, ponadto cztery knajpy, kilka sklepów, muzeum – wszystko przytulone do surowych brunatnych gór. Po głównej ulicy przemieszczały się nieśpiesznie nieliczni turyści, dzieci wracały ze szkoły, miejscowi załatwiali w okolicy swoje ważne sprawy, a ja w sztormiaku, z nasuniętą na głowę czapką obserwowałem to dziwne miejsce na ziemi, o którego istnieniu do niedawna nawet nie wiedziałem, w którym nie powinienem się teoretycznie znaleźć, ale nieodgadnione koleje losu sprawiły, że siedzę tu przy piwie i dumam nad niespodziankami, jakie niesie rzeka mojego życia...

Miałem już takie chwile nie tak dawno – w nieco podobnym przez swoje odosobnienie, lecz o niebo ruchliwszym miejscu – w ulicznej piwiarni w niewielkim indyjskim mieście Kalimpong w Zachodnim Bengalu u podnóża Himalajów i znowu tak jak wtedy pomyślałem – wzruszony i wdzięczny losowi – że dla takich chwil... Ale to pewnie głupie, bo chyba zawsze warto... Zostawmy to!

I że szczęściarzem jestem...